

CONEXPO 2002, Las Vegas, 12-16 marca

Pęd do nowości

MAREK ZIEMAK

Organizowane co 3 lata w Las Vegas targi maszyn i technologii dla budownictwa CONEXPO to największa tego typu impreza w USA. Uczestniczyłem w ich tegorocznej edycji, korzystając z zaproszenia firmy Topcon America z Kalifornii. Przy okazji rzuciłem okiem na „American dream” i poczytałem kilka narzucających się porównań USA–Europa–Polska.

Targi CONEXPO odbywają się w mieście, które zupełnie nie kojarzy się z jakąkolwiek techniką użytkową. A jednak. Znajduje się tu Convention Center, tj. ogromny zespół wystawienniczy, w którym CONEXPO wypełniło 5 hal oraz 6 ha terenów otwartych. Ogromna impreza, mnóstwo maszyn i wszystkiego, co pomaga dobrze i szybko budować. Z danych statystycznych wynika jednak, że analogiczne targi BAUMA w Monachium są większe. No proszę, nie wszystkie więc w tych Stanach jest największe – punkt dla dobrej, starej Europy.

Na wystawie koncentrujemy się oczywiście na ekspozycji sprzętu geodezyjnego dla różnych dziedzin budownictwa. W zakresie czystej geodezji stoiska miały Trimble-Spectra Precision, Topcon, Laser Alignment – Leica, Sokkia, Pentax i Ashtech – Thales. Nieobecny był Nikon. Wszyscy w branży instrumentów komentowali, kto kogo ostatnio przejął. Przypomnę, że niedawno Trimble (USA) kupił Spectrę z jej europejskim dobrodziejstwem inwentarza (Geotronics, Zeiss), dalej jest Leica (Szwajcaria) jako nabywca Laser Alignment oraz Thales (Francja), który przejął Ashtecha. Znów dwa do jednego dla starego kontynentu.

Oferta sprzętu geodezyjnego taka sama, jak w Europie i Polsce. Z nowości przede wszystkim tachimetry bezlustrowe w różnych kategoriach dokładnościowych. Poza tym duży wybór niwelatorów laserowych. Oferują je wszyscy wyżej wymie-

nieni z wyjątkiem Ashtecha. Sprzedawane są też przez kilka innych firm specjalizujących się tylko w ich produkcji. Widać, że lasery zrobiły karierę w budownictwie, bo stosowane są do pozycjonowania wszystkiego wewnątrz i na zewnątrz budynków. Ceny najprostszyc modeli kształtują się na poziomie 200 dolarów i w większości

lasery te powinny być raczej nazywane narzędziami niż instrumentami. Mimo takiej różnorodności nie odniosłem wrażenia, żeby poważnie zagrażały geodetom na budowach. Umożliwiają one np. precyzyjne układanie podłóg, ustawianie ścianek działowych i sufitów podwieszanych, prowadzenie rur i kabli (poziomo

lub pionowo) w obrębie jednego pomieszczenia. Tych prac i u nas nie obsługują geodeci, za to „fachowcy” robią je wciąż na oko albo szlauchową, co przekłada się na naszą budowlaną bylejakość. Przyszłość należy jednak do laserów i doradzałbym geodetom zapoznanie się z nimi po to, by na budowie umieli integrować klasyczne pomiary geodezyjne z laserowymi.

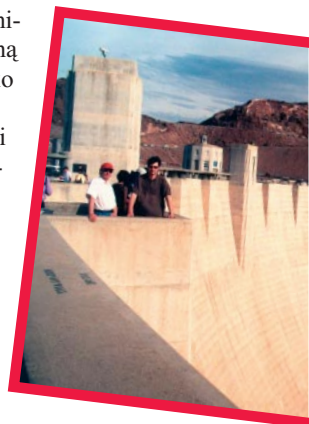
Na wystawie zaskoczyła nas też bardzo liczna ekspozycja odbiorników GPS. Stosowane są już we wszystkich pomiarach inżynierskich, a największą karierę

robią w drogownictwie, gdzie są wykorzystywane do sterowania pracą maszyn drogowych. Tak, tak – leziesz spycharki sterowane przez satelitę!

Spotkanie z amerykańskimi kolegami z Topcon przyniosło nam dalsze ciekawe informacje na temat miejscowego rynku. Po pierwsze, większość sprzedawanych w USA tachimetrów to modele jednoosobowe (samonaprowadzające się). Powody ponoc są dwa: jeden to brak wykwalifikowanej siły roboczej w geodezji (więc wykonawcy nie mają wyboru i kupują instrumenty umożliwiające szybką i wydajną pracę solo), a drugi to zamiłowanie Amerykanów do wszystkiego, co najnowocześniejsze (w Europie upodobanie to dzielają na razie tylko Szwedzi). Po drugie, gwałtownie rośnie sprzedaż odbiorników GPS-RTK dokładnie z tych samych powodów, co wyżej, tylko zabawka inna. Po trzecie, 80% tachimetrów sprzedaje się z zewnętrznymi rejestratorami. Większość geodetów nie wykorzystuje w ogóle pamięci wewnętrznej ani oprogramowania zainstalowanego w tachimetrach, tylko używa różnych rejestratorów zewnętrznych. Są to właściwie komputery terenowe z możliwością pełnego manipulowania zbiorami graficznymi. Ich wada to „kablologia” oraz cena, ale ta ostatnia nie zraża Amerykanów.

Dla wyjaśnienia dodam, że aktualnie bezrobocie w USA kształtuje się na poziomie ok. 5%, a zamiłowanie do nowości pcha całą gospodarkę światową do przodu. Dla nas potwierdzeniem tego pędu do nowego była bardzo duża frekwencja na targach, mimo że wstęp – za słoną opłatą – mieli tylko specjaliści.

Reasumując, targi mi się podobały, ale Europa też takie ma. Podobne imprezy odbywają się cyklicznie (co trzy lata) w Monachium, Paryżu i Bolonii. W Polsce targów budowla-



nych organizuje się dużo, niestety, zawartość ekspozycji jest wiejsko-gminna, czyli królują taczki i łopaty, a z instrumentów – szlauchwaga oraz jako supernowość – niwelator (optyczny zresztą).

A teraz wrażenia z Las Vegas – owianego sławą trochę nieprawego pochodzenia. Pierwsze dotyczą zapory wodnej z elektrownią im. Hoovera na rzece Colorado oddalonej ok. 30 km od miasta. Została ona zbudowana w latach 1934-37 w ramach prac publicznych mających pobudzić gospodarkę amerykańską po tzw. wielkim kryzysie. Ma wysokość 220 m, czyli mniej więcej tyle, ile Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Mimo upływu 65 lat wygląda jak nowa i widać, że została zaprojektowana w taki sposób, żeby – oprócz wa-

lorów użytkowych – zwyżczajnie się podobiała. Na mnie, jako geodecie, zrobiła duże wrażenie (chodząc po jej koronie, zauważyłem też kilkanaście mosiężnych punktów geodezyjnych z wygrawerowanymi opisami do permanentnego monitoringu ruchów zapory). W sumie piękna inżynierska robota. Nic dziwnego, że na zaporze umieszczono brązowe tablice z nazwiskami ludzi, którzy ją projektowali, nadzorowali i budowali. Widać, że byli dumni ze swego dzieła, a potomni nadal to doceniają.

Amerykani nie byłiby też sobą (samochwalstwo!), gdyby nie znałpowali na tę okazję określenia „siedem inżynierskich cudów Ameryki” i oczywiście zaliczyli do nich zaporę. Marketingowo działa to doskonale, bo zwiedzających jest mnóstwo.

Mnie zrobiło się trochę smutno, bo u nas raczej nikt się takimi rzeczami nie chwali, a czasami wręcz do nich nie przyznaje. Cóż, różne kraje, różne podejście i jakość pracy inżynierskiej. W rezultacie w Polsce wszystko jest „nasze”, co przekłada się bardziej na „niczyje”. Myślę, że jest to podejście po prostu żalodne i warto by je szybko zmie-

nić, przynajmniej w geodezji, bo to zależy tylko od nas.

Oglądając zaporę, nie mogłem się jednak uwolnić od pewnych myśli. Otóż, jak wspominałem, budowę sfinansował w latach trzydziestych rząd USA. Z logicznego punktu widzenia było to wyrzucanie pieniędzy w błoto, bo zapora powstała na środku pustyni, gdzie nikt energii nie potrzebował. Ot, taka piramida bez praktycznej przyszłości – pomnik urzędowego modelu gospodarowania.

Zapora stała solo kilka lat. Potem było jak w filmie. Człowiekiem, który znalazł zajęcie dla niej i elektrowni, okazał się – co tu dużo mówić – gangster, niejaki Bugsy Siegel. Dostrzegł on, że kombinacja łagodnego prawa Nevady (ja to rozumiem – w stanie, gdzie jest wyłącznie pustynia i grzechotniki, trudno się sadzi na zabranianie inwestorom czegokolwiek) i dużej ilości taniej energii z elektrowni oraz wody z jeziora zalewowego, daje możliwość budowy

kasyna bardzo tanim kosztem. Był to początek Las Vegas.

Gangster ze swoją mafią zbudował hotel i kasyno Flamingo. Obiekt i pomysł spodobały się naśladującym, bo szybko znaleźli się naśladowcy, a dziś miasto liczy ok. 1 mln mieszkańców. Jego układ jest prosty. Jedna ulica długości ok. 6-7 km, o mało finezyjnej nazwie The Strip, czyli Pas, obudowana hotelami, kasynami, kapturkami, sklepami itp. i otoczona morzem parterowych amerykańskich domów z uliczkami w kratkę. Ta jedna ulica tworzy miasto i legendę, reszta jest nieistotna. Prawdę mówiąc The Strip warto oglądać wyłącznie w nocy. Ulokowano wzdłuż niej 9 z 10 największych hoteli świata, ale w ogóle liczy się je na dziesiątki. Są one właściwie kompleksami rozrywkowymi z przebogata ofertą wszelkich uciech. Kasyn też oczywiście niemało, ale wcale nie dominują. Każdy, nawet dziecko, znajdzie w tym mieście zajęcie dla siebie (poza grę i hazardem).



Pierwsza przechadzka była dla mnie szokiem, przede wszystkim estetycznym. Takiego nagromadzenia kiczu, blichtru, a jednocześnie architektonicznej ekspresji nie spotkałem w życiu. Bo wyobraźcie sobie bezpośrednie sąsiedztwo obiektów typu:

■ egipska szklana piramida (w środku hotel) i sfinks ze dwa ra-

zy większy od oryginału,

■ Nowy Jork w pigułce ze Statuą Wolności i Mostem Brooklyńskim,

■ Paryż z wieżą Eiffla, jak żywą, i Łukiem Triumfalnym,

■ pałac cesarza wprost z epoki,

■ wyspa skarbów ze statkiem i piratami walczącymi co godzinę,

■ Wenecja z Pałacem Dożów, placem św. Marka i jeziorkiem z gondolami (gondole pływają też po 16. piętrze hotelu).

Nie mogłem się tylko nadziwić, jak to się stało, że architektów, którzy to zaprojektowali, nie wysłano „do zubków”, a pozwolono im te pomysły zrealizować. Przechadzka kolejnej nocy była już mniej szokująca, pozwoliła natomiast trzeźwiej spojrzeć na to unikalne miasto. Muszę przyznać, że to nagromadzenie kiczu, ale w połączeniu ze skalą przedsięwzięcia, jakością i różnorodnością usług zaimponowało mi. W końcu chodzi tu o rozrywkę, a przecież do szampańskiej zabawy najlepsze jest wariackie otoczenie. Tam wszystko jest takie inne, takie specjalne i takie kiczowate, że aż... ładne.

Nie wiem, czy następcom Bugsy Siegela brakowało wyobraźni i gustu i dlatego wyszło coś takiego, czy też niepowtarzalny efekt jest wynikiem przemyślanego działania. W każdym razie na pewno jest on wart zobaczenia. To dlatego Las Vegas odwiedza rocznie 31 mln turystów, a rozrywka daje tu 10 mld dolarów zysku rocznie (słownie: dziesięć miliardów dolarów).

Jako przedstawiciel polskiego sektora prywatnego jestem pełen podziwu – to więcej, niż generuje rocznie cały polski przemysł. Gdy opowiedziałem moim młodym kolegom w Polsce, jak to amerykańska mafia – ponoć twórca miasta – umie wyciskać forsy nawet z pustyni, natychmiast odpowiedzieli, że każdy kraj ma taką mafię, na jaką zasługuje. Od siebie muszę dodać, że i geodezję, na jaką zasługuje...

Autor jest prezesem firmy TPI, zdjęcia ze zbiorów autora